Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Ambona. Fot. Konst. Komierowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 32 (636). 8 SIERPNIA 1931 R.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja „Łowca Polskiego", dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia (ewentualnie nazwę miejscowości) oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100.—, II-gą zł. 50.—, III-cią i IV-tą nagrodę — roczna bezpłatna prenumerata „Łowca Polskiego" i V-tą nagrodę ½ roczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków Komitetu Redakcyjnego.

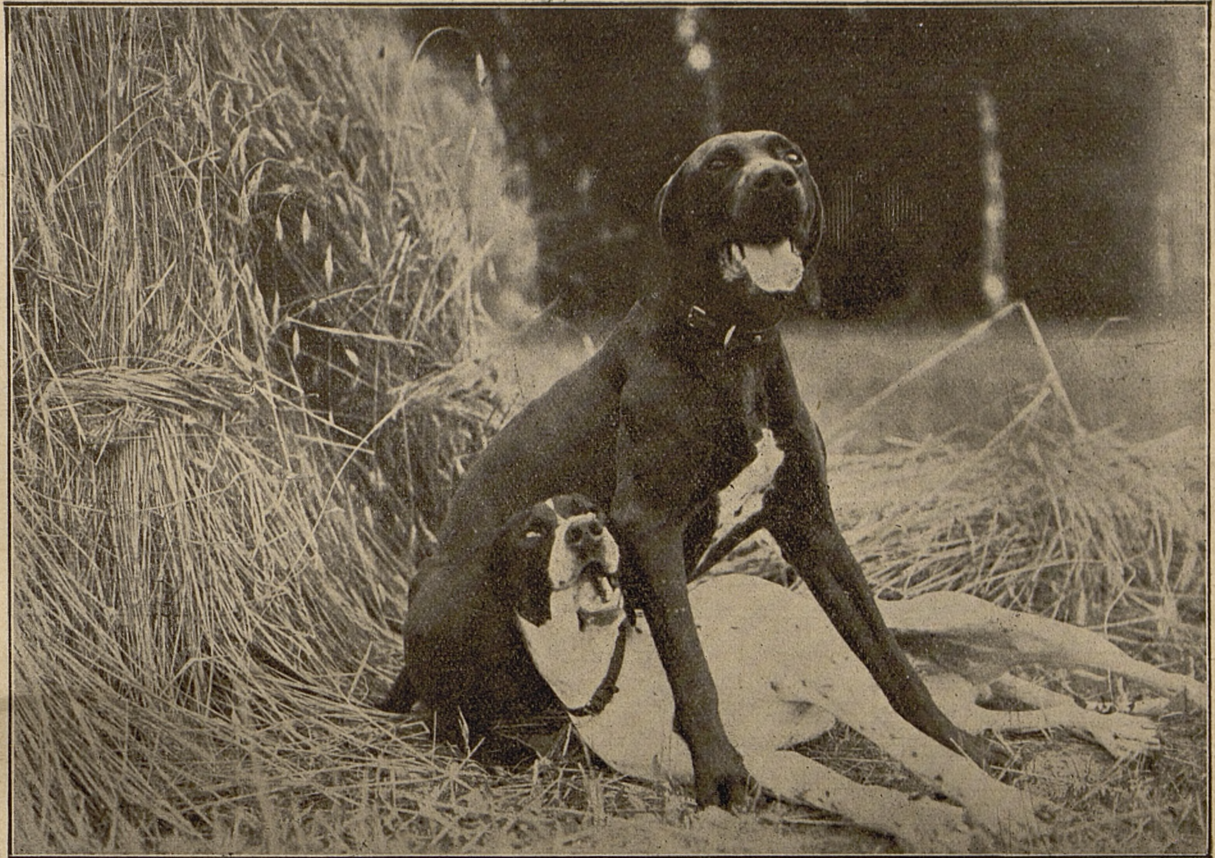
Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 15 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO"

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Zmęczeni przyjaciele. Fot. Zbigniew Wóycicki.

W SPRAWIE TERMINÓW OCHRONNYCH.

Ograniczenie czasu polowania na ten lub inny rodzaj zwierzyny wywołuje zawsze w kołach myśliwych namiętne dyskusje na temat racjonalności lub nieracjonalności stosowanych ograniczeń, przytem zwykle najwięcej słyszy się głosów przeciwnych tym ograniczeniom. Ponieważ moje zarządzenia dotyczące terminów ochronnych, idą przeważnie dalej niż takież zarządzenia innych wojewodów, chciałbym przedstawić na łamach „Łowca Polskiego" swoje w tej materji poglądy i w rezultacie wywołanej w taki sposób dyskusji uzyskać — przy łaskawem pośrednictwie i udziale Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich — skrystalizowaną opinję ogółu zrzeszonych myśliwych, która mogłaby służyć w przyszłości za podstawę do racjonalnego regulowania tej, tak drażliwej, sprawy.

Twórcy polskiej ustawy łowieckiej, wprowadzając do niej uprawnienie wojewodów do ograniczenia czasu polowania, dali wyraz słusznemu poglądowi, że jednolity kalendarz łowiecki nie może być stosowany na całym obszarze Rzeczypospolitej. Ta rzecz, wg. mego zdania, nie podlega żadnej dyskusji, jakkolwiek krępuje do pewnego stopnia swobodę myśliwych i zmusza ich do zaznajamiania się z lokalnemi zarządzeniami ochronnemi w poszczególnych województwach, oraz poniekąd utrudnia kontrolę ochrony, zwłaszcza w handlu zwierzyną.

Ze społecznego punktu widzenia łowiectwo traktować można i trzeba nietylko jako uszlachetniającą i zdrową rozrywkę, lecz także jako poważną gałąź gospodarki narodowej, niestety, dotychczas u nas powszechnie niedocenianą. Za czasów moich studjów akademickich w Czechach, a więc około 1910-go roku, średnie spożycie mięsa na głowę ludności wynosiło tam — 22 klg. W tym samym czasie rejestrowany w handlu obrót zwierzyną wynosił 2,5 klg. na głowę ludności. Jeżeli do tego doliczyć zwierzynę spożywaną bezpośrednio, a więc nierejestrowaną w obrocie handlowym — możemy przyjąć, że mięso ze zwierzyny stanowiło około 15% ogólnego spożycia mięsa. Polska posiada niezaprzeczenie najlepsze w Europie warunki naturalne dla hodowli zwierzyny i przy należytej ochronie bardzo prędko mogłaby stworzyć z łowiectwa poważną gałąź dochodową. Na przeszkodzie temu stoi w bardzo silnym stopniu zakorzeniony stosunek do myślistwa wyłącznie jako do rozrywki (nie mówię tu o dzielnicach zachodnich, gdzie pod tym względem panuje kultura niemiecka).

Wszelkie ograniczenia swobody łowieckiej są z reguły przez przeważną liczbę myśliwych przyjmowane z niezadowoleniem i traktowane jako nieuzasadnione akty samowoli ze strony administracji państwowej.

*

* *

Dotychczas stosowane przezemnie ograniczenia dadzą się zasadniczo podzielić na dwie grupy:

1) Rozszerzenie terminów ochronnych na zwierzynę „użyteczną".

2) Wprowadzenie terminów ochronnych na drapieżniki. Długoletnie i bardzo sumienne obserwacje własne z życia naszych zwierząt łownych, jak również zdanie szeregu hodowców zwierzyny — polskich, czeskich i rosyjskich, z którymi miałem możność rozmawiać na ten temat, — utwierdziły mię w przekonaniu, że jednym z zasadniczych warunków pomyślnego rozwoju zwierzostanu jest zapewnienie możliwie największego spokoju w rewirach łowieckich w czasie lęgu i w okresie, kiedy młodzież zaczyna sama już żerować, lecz potrzebuje jeszcze stałej opieki rodziców. W tym czasie wskazane jest całkowite wstrzymanie się od polowania, nic bowiem tak nie płoszy zwierzyny jak polowania, zwłaszcza o ile powtarzają się często na jednym terenie, jak to bywa z wiosennemi polowaniami na tokach głuszców i cietrzewi, ciągach słonek, polowaniach na kaczory z krekuchą i t. p. Obserwowałem wypadki, kiedy kaczki opuszczały zasiedziane jaja w miejscach, gdzie często powtarzały się polowania na kaczory. Znam tokowiska głuszców i cietrzewi, przy których z początkiem toków było dużo samic, a po kilku polowaniach wynosiły się one w dalsze okolice, poszukując spokojniejszych tokowisk. Po zaprzestaniu polowania, w następnych latach, gnieździły się w bezpośredniej bliskości tokowiska. Miałem wypadek, kiedy polując na kaczory na wyspie, oblanej rozlewem Prypeci, wypłoszyłem strzałami lochę z siedmiorgiem małych, z których pięć znalazłem potem utopionych. Miałem kawałek lasu, w którym zawsze trzymały się sarny. W tym samym kawałku odkryłem dobry ciąg słonek, a ponieważ było to blizko od domu — chodziłem na ten ciąg po parę razy w tygodniu; w rezultacie sarny zupełnie opuściły ten las. Ponieważ chodziło mi o utrzymanie sarn— przestałem tam polować na słonki i po 2-ch latach miałem znów poprzedni stan sarn. Tego rodzaju przykładów przytoczyłby niewątpliwie dużo każdy myśliwy, który poświęcił trochę czasu i uwagi na obserwację życia zwierzyny, na którą poluje. Niestety, przeważna część licznej rzeszy naszych myśliwych bardzo mało wie o życiu zwierzyny, a swe zainteresowania łowieckie ogranicza do odstrzału jaknajwiększej ilości „zasadzonych" głuszców, wypatrzonych kozłów, lub napędzonych przez nagankę zajęcy czy dzików.

Nie dążąc do całkowitego zamknięcia polowań wiosennych (co byłoby może najsłuszniejsze z punktu widzenia czystej ochrony), staram się swemi zarządzeniami doprowadzić do tego, żeby zapewnić zupełny spokój w rewirach łowieckich od połowy maja do połowy lipca. W warunkach poleskich odpowiada to okresowi późnych lęgów i wychowu młodzieży. Jeżeli wiosna jest wyjątkowo opóźniona, jak to było w roku bieżącym, — to istotnie okres polowań wiosennych bardzo się kurczy, jednak prawdziwy myśliwy będzie się zawsze liczył z tem, że późna wiosna i tak odbije się ujemnie na zwierzostanie, osłabionym zbyt długą zimą lub ciężkimi warunkami wiosennego przelotu, i przedłużanie wiosennych polowań przy spóźnionej wiośnie byłoby dalszem pogarszaniem nieprzychylnych warunków hodowlanych. Gdyby wreszcie spóźniona wiosna odsuwała automatycznie bieg procesów naturalnych w przyrodzie — byłoby może słuszne przesuwanie terminów ochronnych. W rzeczywistości opóźnienie wiosny — procesów tych nie przesuwa, tylko skraca okres ich trwania, przesuwanie więc z tego powodu terminów ochronnych nie miałoby uzasadnienia.

Tyle narazie co do polowań wiosennych. Ograniczenia w okresie jesiennym wprowadzam w zależności od stanu tego czy innego gatunku zwierzyny, i traktuję to ograniczenie jako zmienne. Tymczasem dotyczą moje zarządzenia głównie kuropatw, zajęcy i sarn. Stan wszystkich tych trzech gatunków z roku na rok się poprawia i jeżeli tak pójdzie dalej, sądzę, że po kilku latach dzisiejsze ograniczenia staną się zbędnemi.

Ochronę drapieżników wprowadziłem dla następujących względów: po pierwsze — jeżeli chodzi o gatunki zwierząt u nas już ginących, jak niedźwiedź, ryś, kuna leśna, norka — należy się im ochrona, jako okazom do pewnego stopnia zabytkowym. Po drugie nie da się zaprzeczyć, że zwierzęta drapieżne odgrywają pewną, dodatnią, rolę w hodowli, przez wyławianie przedewszystkiem zwierząt słabych lub chorych, które przy silnem rozmnożeniu, zwłaszcza jakiegoś jednego gatunku, stają się roznosicielami chorób zakaźnych, ulegając zarazie łatwiej niż osobniki zdrowe i silne. Po trzecie zwierzęta drapieżne, jako zwierzęta dostarczające cennych futer, stanowią wielokrotnie większą wartość handlową, niż większość naszych zwierząt „pożytecznych", utrzymane więc w racjonalnej ilości, mogą znakomicie podnieść dochodowość naszego łowiectwa. Po czwarte, — z punktu widzenia myśliwego amatora, — zwierzęta drapieżne dają najcenniejsza trofea.

*

* *

Skąd pochodzi mnogość narzekań na „krępujące terminy ochronne"? Liczne rzesze myśliwych, jakich obecnie w Polsce spotykamy, dadzą się zasadniczo podzielić na trzy kategorje:

1) Prawdziwych myśliwych, dla których polowanie nie jest wyłącznie zaspokojeniem atawistycznych instynktów łowieckich; takich, którzy z „żyłką łowiecką" łączą zamiłowania hodowców zwierzyny.

2) Myśliwych tępicieli o silnie rozwiniętym instynkcie łowieckim, często (lecz nie zawsze) znakomicie znających się na rozmaitych sposobach polowania, ale nieuznających żadnych ustaw lub ograniczeń i traktujących zagadnienia łowieckie pod kątem egoistycznym, a w sposób krótkowidzący i niesłychanie arbitralny.

3) Przygodnych myśliwych, zajmujących się polowaniem dla przyjemnego i zdrowego spędzenia czasu, lub dlatego, że uprawianie jakiegokolwiek sportu jest modne, a sport łowiecki należy do sportów „w dobrym tonie" (ci męczą się, ale polują i oczywiście, hodowla zwierzyny ich nic nie obchodzi).

Najliczniejsza jest ostatnia grupa. Składają się na nią przedewszystkiem liczne rzesze myśliwych miejskich, rozporządzających normalnie bardzo ograniczonym czasem, który mogą poświęcić polowaniom w dni wolne od stałych zajęć — niedziele i święta, oraz czas swych urlopów wypoczynkowych. Rzecz jasna, że ci

myśliwi, przy wprowadzaniu rozszerzonych terminów ochronnych, są istotnie poszkodowani, ich bowiem możność polowania sprowadza się nieraz do jakichś paru dni w ciągu roku. Ale tu sytuacja jest bez wyjścia, gdyż chcąc dać wszystkim możność zużytkowania dni wolnych od pracy na wycieczki myśliwskie, — trzebaby znieść wogóle terminy ochronne. Rekompensatą za to zwężenie możliwości będzie dla tej kategorji myśliwych poprawa zwierzostanów przy wzmocnionej ochronie, a co za tem idzie, obfitsze wyniki polowań.

Należący do tej grupy „myśliwi — dla mody" — najwięcej narzekają na samowolę administracji, bo to daje im łatwą okazję do zabierania głosu w sprawach, na których ani się znają, ani ich one obchodzą, ale „przecie jest się myśliwym i wypada na ten temat coś powiedzieć".

Myśliwi kategorji drugiej mogliby nieraz udzielić bardzo cennych wskazówek, dzięki swej znajomości kniei i jej życia, są oni jednak niestety, z zasady opozycjonistami zawsze tam, gdzie chodzi o jakiekolwiek ograniczenia swobody łowieckiej. Ta grupa jest niewątpliwie najszkodliwsza.

Należy do niej rzesza myśliwych - rekordzistów, dla których głównym celem polowania jest zdobycie możności pochwalenia się nadzwyczajną ilością zabitych sztuk zwierzyny. Ci znów przeważnie rekrutują się z ludzi zamożnych, swobodnie dysponujących czasem. Wynajmują oni gdzie się da, tereny łowieckie w takiej ilości, że przy skróconych okresach odstrzału, nie są w stanie ich opolować. Z hodowlą zwierzyny mają oni przeważnie bardzo mało wspólnego, a wynajęte tereny pozostawiają przez cały rok na opiece jakiegoś miejscowego kłusownika, który w odpowiedniej chwili potrafi dobrze wabić kaczory, wybrać tokowisko cietrzewi, doprowadzić do paru głuszców jednego ranka — a za to cały rok swobodnie strzela, co mu pod lufę wpadnie. Jest on najczęściej inspiratorem narzekań na krępujące terminy i zawsze na jeden temat: „dawniej nie było zakazów, a zwierzyny było więcej".

Pozostaje zatem kategorja pierwsza — myśliwi-hodowcy, których głos winien mieć decydujący wpływ na ustalanie terminów ochronnych, a przedewszystkiem Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, jako ognisko słusznej polityki łowieckiej. Sądzę, że wśród tej kategorji myśliwych, przedstawione przezemnie zasady ustalania terminów ochronnych, z zasadniczym sprzeciwem spotkać się nie mogą. Potwierdzenie tego swojego sądu znajduję w wydanym przez P. Zw. St. Ł. Kalendarzu myśliwskim na rok 1931 na str. 13-ej— Maj — w następujących zdaniach: „...Któżby w tym czasie polował? Nawet najbardziej zapalony myśliwy tylko ze zwyczaju bierze strzelbę na plecy, idąc na pola i do lasu, a, radując się widokiem natury, ma nawet jakiś przyrodzony wstręt do strzału. W lesie panować winny: niezamącona cisza i spokój. Psy niesforne trzymać należy na łańcuchu, *by nie płoszyły młodego pokolenia zwierzyny...*".

JAN KRAHELSKI
Wojewoda poleski.

Stanowisko Redakcji w poruszonej kwestji będzie zamieszczone w następnym numerze. Przyp. Red.



FRAGMENTY.

(Z CYKLU „WIOSNA").

(Zob. Nr. 31).

Pragnąc dostarczyć swym gościom maksimum wrażeń i przyjemności, dziedzic Karasina zawsze bierze bardzo czynny udział w polowaniach, lecz sam do swych głuszców nie strzela. Pan Michał marzy o tem, aby nietylko w każdym lasku, lecz i na każdem drzewku, rosnącem na jego posiadłościach grał chociażby jeden głuszec i dąży do urzeczywistnienia swego marzenia z ogromnym uporem, otaczając swych ulubieńców wyjątkową opieką. Dążenie to, łącznie z brakiem racjonalnej selekcji, nieodpowiednim ilościowo odstrzałem oraz naturalnemi przyczynami, ma swoją złą stronę i może spowodować ujemne wyniki. Nawet na zupełnie dziewiczych terenach, gdzie nikt dostępu nie ma, gdzie grzmot wystrzału nigdy nie zaniepokoił leśnych mieszkańców i nie przerwał miłosnej arji pieśniarza puszczy, oraz gdzie znajdują się od wieków wymarzone warunki rozrodcze, zwiększenie się stanu głuszców ma pewne granice, po przekroczeniu których ilość głuszców nietylko nie utrzymuje się w osiągniętej normie, lecz czasowo zaczyna zmniejszać się, często dość znacznie. Przyczyniają się do tego.

1) opanowanie przez nadmiar młodzieży tokowisk, to znaczy aren rycerskich turniejów i walk najlepszych piewców nie otrzymujących, po zakończeniu rytualnych śpiewów i po odbytych zapasach upragnionej nagrody od dam serca, które zdążyły przedwcześnie sprzeniewierzyć się rycerzom — bardom, ulegając milczącym zabiegom młodzików; 2) charakterystyczna cecha rozszerzania się nazewnątrz, a nie wgląb uroczyska, terenów ogrywania tokowiska, t. j. poszukiwanych przez grających głuszców, odpowiednich dla grania miejsc; 3) długotrwały zanik selekcyjnych czynności najlepszego hodowcy—natury; 4) opuszczanie rodzinnych pieleszy przez zniechęconych tłokiem i zbytnią natarczywością młodego pokolenia, poważnych rycerzy, poszukujących nowych ustroni oraz 5) emigracja w ślad za pionierami — trubadurami wierniejszej części płci żeńskiej, powodująca tworzenie nowych tokowisk na nowych, nieznanych terenach.

W warunkach naszego Polesia znane zjawisko wylotu w czasie toków starszych i piękniejszych okazów głuszców, nieraz na bardzo odległe od stałych tokowisk tereny, które tak pod względem ochrony, jak i spokoju nie mogą porównywać się z opuszczanymi, jest w konsekwencji bardzo przykre. Okazy te, zwiększając znacznie stan grających głuszców na sąsiednich, obcych terenach, których właściciele wyzyskują sytuację i śpieszą zbierać „mannę z nieba", przeważnie są stracone, gdyż większość królewskich ptaków marnie kończy swój żywot ku zgryzocie i rozpaczy hodowcy, który podświadomie przyczynił się do takiego stanu rzeczy.

Zima była śnieżna i mroźna. Z początkiem marca znacznie ociepliło się: zaczęły padać codziennie deszcze, które jeszcze przed kalendarzowym początkiem wiosny (21.III) spowodowały wiosenne roztopy oraz doszczętnie zniszczyły śnieżne zaspy i grubą warstwę lodów. Chociaż w drugiej połowie marca nocne przymrozki ścinały przepełnione wodą, obszerne bagna, „brody" i „brodki" oraz skuwały na fest liczne, płytkie „łuże", jednak we dnie, zwycięskie, złote strzały słonecznych promieni niweczyły ostatnie wysiłki ustępującej zimy i kąpały swe ostrza w rozedrganych, połyskujących hebanem, iskrzących się, wodnych płaszczyznach urozmaiconych pląsami ruchomych cieni, pokrytych igliwiem gałęzi.

Jeszcze nikt z przylotnych, wiosennych gości nie zawitał. Milczały knieje, bagna i jeziora. Wszakże najtęższe głuszce już rozpoczęły próby swych galakoncertów.

Obsadziliśmy dziś kilka głuszców w uroczyskach „Josiw dub"; grają wcale nieźle—informował mnie na „Zuzance" pan. S.; „teren jest stosunkowo najdostępniejszy i pan łatwiej się dostaniesz na wysepki, a więc i pod gracza". Wyruszyliśmy z gajówki o północy. Prowadził Kondrat okrężną drogą, starannie omijając brody i kładki oraz ścięte lodem dołki. W szybkiem tempie podążaliśmy „gęsiego" przez wrzosowiska krętą ścieżyną, widoczną w zaroślach tylko takim ostrowidzom jak pan Michał i Kondrat. Od czasu do czasu, gdy zdradziecka rózga cienkich, brzozowych pręcin boleśnie smagnęła mnie po twarzy, lub gdy kłująca setką igieł gałązka zdecydowanie dobierała się do moich źrenic, dopomagałem sobie elektryczną latarką i śpieszyłem dogonić szybko oddalającego się Kondrata. Nogi, ubrane w wodery i skórznie, stąpały lekko i bez szumu. Gdzieniegdzie tylko przytłumiony trzask nadeptanego złomu, lub chrobot łamiącej się pod stopą, niedostrzeżonej w wydołku lodowej skorupki mąciły na chwilę ciszę i wywoływały ostrzegawcze „csss". Półtoragodzinny przemarsz przyśpieszył oddech i rozpalił policzki. Dochodziliśmy. Przeciągły, cichy jak westchnienie, gwizd pana Michała zatrzymał Kondrata. Zeszliśmy się i, jak zakonspirowani zamachowcy, głowa przy głowie wysłuchaliśmy krótkich dyspozycyj gospodarza. „Latarkę schować". Kondrat rusza naprzód o jakie 200 kroków i słucha aż do skutku; my we dwójkę, posuwamy się za nim; wysapać się, wypalić ostatni papieros, nie chrząkać, nie kasłać, gdyż jednego głuszca, który zapadł na ostrowku, już minęliśmy. Kondrat znikł niezwłocznie. Przykucnęliśmy pod dębem „Josia", którego nazwa „Josiw dub" określa całe uroczysko i, kryjąc w rękawach kożuszków, jak sztubacy, ogniki papierosów, wypaliliśmy z rozkoszą tego „ostatniego". Dreszczyk oczekiwania pełzał po kręgosłupie, przemykał się po żebrach, zakradał się na piersi i wstrząsał rozgrzanem ciałem. „Ruszajmy za Kondratem". Szliśmy wolno, jeden za drugim, brzegiem uroczyska, przystając i wsłuchując się w każdy, najczęściej urojony, szmer uśpionej kniei.



Na słonki po kładkach. Fot. St. Skrzyński.

Zwykłych oznak zbliżania się świtu nie było. U góry, na tle pochmurnego nieba wyrysowywały się szczelnie zatuszowane mrokiem kontury wierzchołków drzew. Na przemianę stożkowate, kuliste, lub łamane jak zderzające się, morskie bałwany, tworzyły ponurą i groźną całość jakby nagromadzonych w niedużem polu widzenia, wulkanów gotowych w każdej chwili

zionąć ogniem i zniszczeniem. U dołu — czeluście lasu, zda się, napełnione płynną i gęstą smołą, chroniły przed wzrokiem tajemne przejścia do swych głębin, piętrzyły zwarty, czarny mur ciemności, chłonących kształty wszystkich przedmiotów i straszyły zasłoną śmiertelnej ciszy, po za którą jakby się czaiły, czyhające na śmiałka-intruza, okropne, włochate zjawy, złośliwe dziwy i zgubne topielice. Tęgi przymrozek szczypał policzki, na których drobniutkim szronem osiadała wilgoć. Zmysł słuchu, napięty do ostatecznych granic, wrażliwy na najmniejszy szelest górował nad resztą zmysłów. Jak gdyby ciężka kropla spadła ze znacznej wysokości w naczynie z gęstym płynem, a echo niezwłocznie powtórzyło odgłos uderzenia: oderwany dźwięk wpadł w ucho i znikł w ogromie panującej ciszy. Po dłuższej przerwie powtórzył się, następnie podwoił i urwał, aby po kilku minutach, wydających się godzinami, znowu dosięgnąć słuchu, potroić się i znowu zamilknąć na czas dłuższy.

Drgnąłem. Kondrat, jak bezcielesny duch, wychynął tuż przy mnie i po zapytaniu: „czujete" (słyszy pan), oznajmił szeptem, że dziedzic daleko na przodzie słucha pieśni trzech głuszców, których rozmieszczenie jest bardzo niedogodne. Zapytałem go, jak stoi sprawa z tym, którego już od dość długiego czasu podsłuchuję. „Cej tut sam jiden klapaje i skoro poczne hraty; tymczasom można jty do nioho bez pisni; temno, bo temno, ale ja powedu: deržicia pane za mij pasok i stupajte w slid za mnoju". (Ten tu klapie sam jeden i prędko zacznie grać, na razie można do niego podchodzić, nie oczekując pieśni; że ciemno, to ciemno, lecz ja poprowadzę: proszę pana trzymać się za mój pasek i stąpać moim śladem). Pierwsze kroki w głąb uroczyska upewniły mnie o mojej zupełnej bezradności. Terenu nie znałem. W piekielnych ciemnościach nietylko że nie wiedziałem, gdzie i jak postawić stopę, aby nie narobić hałasu, lecz literalnie nie widziałem nawet pleców Kondrata, za którego pas kurczowo się trzymałem. Wreszcie zdobyłem się na pomysł, który skutecznie mi ulżył. Przyciągnąłem Kondrata do siebie i prawie że dotykając piersią jego pleców, jednocześnie z nim przestawiałem nogę za nogą. Oryginalny spacer trwał dość długo. Mój „prowodyr" kierował się widocznie jakimś instynktem dzikiego, skradającego się zwierza, gdyż bez zawodu znajdował przejścia najdogodniejsze i omijał wszystko, co mogło spowodować głośniejsze odgłosy naszego ruchu.

Rzadkie klapanie głuszca słyszałem to w prawo, to w lewo, to przed nami, to za nami, wreszcie zupełnie przestałem słyszeć. Widocznie Kondrat jakby okładał głuszca, pragnąc odszukać najodpowiedniejszy do podskoków kierunek. Doszliśmy do dość szerokiego, podmarzniętego brodu. Niebo znacznie prześwietliło się. Konary drzew poszarzały, a nieporośnięte miejsca wyjaśniały. Z zachowaniem największej ostrożności przedostaliśmy się na drugą stronę brodu, chociaż nie obeszło się bez dość znacznego trzasku i pluskania. „Hłuszeć daleko, ne poczuje", (głuszec daleko nie posłyszy), uspokoił mnie Kondrat, „a teper hradoju po weresi bude łucze (a teraz grzbietem po wrzosach będzie lepiej). Ostro ruszyliśmy naprzód i przeszliśmy kilkaset kroków łańcuchem wysepek. Stanął Kondrat i w tej chwili posłyszałem wyraźną pieśń głuszca. Grał od nas najdalej o sto pięćdziesiąt kroków, gdzieś na kępie majaczących przed nami, niewyraźnych sylwetek wysokich drzew.

Kazałem Kondratowi czekać i uprzedzony przez niego, że trzeba trzymać się prawej strony wysepki, gdyż na lewej trudno przejść i można ugrząść w bagnie, a po zrównaniu się ze świerkowym ostępem, należy zawrócić w lewo, przeciąć wysepkę i kierować się wprost na głuszca, zacząłem „podskakiwać". Właściwie przyjęty terminologją łowiecką i utarty w barwnych opisach polowań na głuszce wyraz „podskakiwać" nie jest odpowiedni dla określenia sposobu szybkiego zbliżania się do grającego głuszca. W mojej bardzo dużej praktyce tego rodzaju polowań, nigdy nie skakałem, z wyjątkiem chyba konieczności skoków przez napotkaną przeszkodę i ośmielam się twierdzić, że szybkim, posuwistym biegiem lepiej wykorzystam trwający kilka sekund czas szlifowania i opanuję większą przestrzeń bez zbytniego zmęczenia oraz marnowania serca, niżli zawodowy sportowiec-podskakiwacz.

W słuszności swego twierdzenia upewniałem się stale w czasie wyścigów czy to z prowadzącym „czałdonem" (potomek skazańców na katargę, którzy po odbyciu kary osiedlili się na Syberji) w tajdze, czy z leśnym mieszkańcem północnej Rosji, czy z naszym poleszukiem. A więc biegłem, czy podskakiwałem, jak kto woli. Wykorzystywałem każdą pieśń i wkrótce dopadłem zarośli, których pasmo musiałem przejść, aby dostać się do grupy wybujałych świerków, skąd donosił się solowy śpiew koncertanta. Pierzchająca przed rozszerzającym się świtem noc ustępowała bardzo opornie i niechętnie. Przez rozerwane, czarnoszare zwały ścigających się chmur wyzierały blade rąbki rodzącego się światła, które bojaźliwie dotykało górnych części konarów i powoli spełzało ku skłębionym przy ziemi, mrocznym cieniom, jakby urągającym nieśmiałym wysiłkom pierwszego natarcia awangardy ilościowo niegroźnej armji. Jak znieruchomiały w modlitewnej ekstazie tłum wielkoludów — olbrzymich, szarych, zakapturzonych mnichów, wznoszący ciche modły do tronu Przedwiecznego, od czasu do czasu wybucha powtarzającym się stale refrenem gorącego błagania, tak milczący zastęp śpiczastych, poszarzałych w powłoce świtu, świerków trwał w bezruchu, a z jego najeżonej igłami piersi płynęły ku ołtarzom najpiękniejszej z cór wiosny — miłości, dźwięki raz po raz powtarzanej, cudownej modlitwy starej jak świat, lecz zawsze młodej jak uśmiech jutrzenki, bojowo-miłosnej pieśni tego, który zwykle swe ostatnie tchnienie pociskiem ze stalowej lufy gaszonego życia oddaje pod ostatnie dźwięki szlifowania mocnej stali swych płomiennych uczuć i chęci. A posłaniec śmierci sunął wciąż ku świerkom niepostrzeżony i groza utraty życia, nisko zawisła nad roznamiętnionym piewcą. Już wiedziałem, że głuszec znajduje się na jednym z trzech świerków splątanych z sobą ramionami — gałęźmi i rosnących nieco opodal od innych, ale na którym? — „Muszę przesunąć się jeszcze w prawo" — pomyślałem. Szeroki krok i... wpakowałem się w sam środek rozłożystego krzaku, potknąłem się o sploty korzeni, wypuściłem z rąk dubeltówkę, upadłem na kolana, opierając się jedną ręką o ziemię, a w drugiej kurczowo zaciskając pęk gałązek. Urwał głuszec. Skamieniałem. Rozpaczliwie długo ciągnęła się przerwa. Czułem piękące ogniem szarpanie w stłu-

czonych kolanach, ręce moje haniebnie zdrętwiały, dotkliwy ból dolegał w lewym policzku, opartym o złamaną ciężarem padającego ciała, gałąź, nieznośne swędzenie nosa wyciskało łzy — a znosić następstwa jednego nieopatrznego kroku musiałem w odlegości trzydziestu — czterdziestu kroków od miejsca, gdzie krył się czujny ptak. Koroną mych cierpień było świdrujące mózg, bezsensownie powtarzające się, natrętne jak mucha we wrześniu, nie pamiętam, w jakich okolicznościach zasłyszane zdanie poleszuka: „ne trudno hłuszcia zabyty, trudno do nieho pidijty" (nie trudno zabić głuszca, trudno do niego podejść). Miłość własna nakazywała mi wytrwać do końca, jednak w duszy szczerze życzyłem upartemu milczkowi szczęśliwej podróży. Wreszcie zew wiosny i żar krwi wzięły górę nad czujnością. Narazie ostrożne, ciche klapanie wlało otuchę w moje zamierające serce, a wkrótce posłyszane szlifowanie, powróciło rzeźkość omdlewającym mięśniom. Straciłem kilkanaście pieśni na znalezienie i opatrzenie broni, wygrzebanie się z zapadni i na rozprostowanie zwiotczałych członków. W pięć pieśni przedarłem się przez zarośla na wąską, pozbawioną roślinności wysepkę wrzosów. Jakby przemocą wciśnięta między bagnem a ścianą drzew, długa zaledwie na kilkanaście kroków wpierała się końcem, na którym rosły bok o bok trzy, absorbujące moją uwagę świerki, w rozległy rojst. Napróżno wytężałem wzrok, starając się wypatrzeć głuszca. Nie mogłem nawet zorjentować się, na którem z trzech drzew popisuje się swym wokalnym talentem. Przysiągłbym, że ciemna plama, nieruchomie tkwiąca między gałęźmi lewego drzewa była głuszcem; za chwilę byłem prawie pewny, że ptak poruszył się na środkowym świerku; następnie widziałem wyraźnie kołyszące się łapki na prawym i jakby zarysy siedzącego głuszca. Stanowczo „ptaszysko" nielitościwie drwiło ze mnie, przenosząc się z drzewa na drzewo, jak nieuchwytny dla oka drobnoustrój.

Grał za to na podziw. Pieśń za pieśnią zlewały się w kaskadę dźwięków, śród których dawały się rozróżnić: i stuk kastanietów uwodzicielskiej gitany, i syk rycerskiego miecza, ostrzonego na rozkręconym kamieniu toczydła i odgłos odkorkowania butli ze szlachetnem winem. Na małej, suchej przestrzeni pląsałem to w prawo, to w lewo, to naprzód, to wtył, klnąc na głos własną nieudolność, stępiały wzrok i „podłe" świerki. A głuszec sypał pieśniami jak grochem. Zaniepokojony i zdumiony zwlekaniem Kondrat przyszedł mi w sukurs, powtórzył moje pląsy, należycie przypatrzył się i zawyrokował: „o ce win! sydyt na prawom; tretia kulha hylak od werchu" (oto on! siedzi na prawym świerku; trzecie rozwidlenie gałęzi od wierzchołka). „Nie, to nie głuszec". „Win, jejbohu win, strylajte" (On, dalibóg on, proszę strzelać). Ma słuszność leśny wyga! — Odrazu jakby zaostrzył się mój wzrok i zobaczyłem zarysy ptaka, ba, nawet zauważyłem ruchy jego głowy i pyszny wachlarz ogona! Dokładnie wycelowałem, wyczekałem momentu rozpoczęcia szlifowania i nacisnąłem cyngiel. Echo strzału przebrzmiało, posypało się igliwie i... nic pozatem. Chwila konsternacji. Cisza... „Klap, klap"... „O Hospody" (O Boże) nie wytrzymał Kondrat. Z łoskotem poderwała się na lewym świerku tyle razy intrygująca mnie „plama"; czarny olbrzym przeleciał tuż nad naszemi głowami i, odprowadzony naszemi spojrzeniami, pociągnął na bagno. Gra była skończona i... przegrałem ją z kretesem. „Z rodu mini toho ne buło" (od urodzenia nie miałem takiego wypadku) jęczał Kondrat, zrywając z głowy czapkę: „a szob mini burkuły powyłazyły" (a żeby mi ślepia wylazły) zakończył, cisnął czapkę na ziemię i podeptał ją nogami. Posiadam szczęśliwą zaletę, czy wadę, nie przejmować się niefortunnymi dla mnie wynikami polowania, a że przy tem w dużej mierze zawdzięczałem niepowodzenie samemu sobie, poddając się zbyt pochopnie suggestji Kondrata, którego wyjątkowej pomyłki nie mogłem zaliczyć do przemyślanych „sztuczek" poleszuka, więc z lekkiem sercem pogodziłem się z losem. Bez zbytniego pośpiechu wracaliśmy do gajówki. Zdziwiony brakiem zdobyczy pan Michał, jak zawsze dyskretny i miły, nie spytał o przyczyny. Pochmurny poranek zapowiadał wyjątkowo ciepły dzień. W gajówce spożyliśmy smaczne śniadanie i rozlokowaliśmy się do snu na grubej warstwie siana, przykrytej kocami. Po należytym wypoczynku spędziliśmy dzień w miłej pogawędce. Wieczorem, na podsłuchach, zadowoliłem się obsadem jednego głuszca, który zapadł bardzo wcześnie, jak upewniał Kondrat, w czarnym lesie o paręset kroków bliżej od dębu „Josia" i wycofałem się z powrotem na „Zuzankę".

Z nadejściem zmierzchu temperatura znacznie się obniżyła. Około 8-ej godziny zaczął prószyć puszysty śnieg, który coraz bardziej zwiększał się, pokrył wszystko miękkim całunem i przestał padać przed północą. Termometr wskazywał zero stopni. Kopuła niebios rozbłysła miljardem świeczników. Jakieś tylko wyczuwane prądy ciepła wskazywały na to, że jeszcze przed świtem nastąpi odwilż. Gospodarz sądził, że aura jest nieodpowiednia, i radził mi zrezygnować z wyprawy; Kondrat wyraźnie okazywał zniechęcenie i kręcił z powątpiewaniem głową; jednak urok nocy, przybranej w suty, biały płaszcz, był taki czarowny, a figlarne oczęta gwiazd mrugały do mnie tak zachęcająco, że wolałem spędzić kilka godzin na łonie natury z bardzo małą nadzieją na pomyślny wynik, niż pogrzebać wszelką możliwość i potulnie spocząć w objęciach Morfeusza..

(C. d. n.) GEN. ST. SKRZYŃSKI.



Na kaczki. Fot. Gertig.



STRACHY NA LACHY.

Moje spotkanie z tygrysem miało charakter nieco operetkowy.

Stało się tak.

Musiałem przewieźć z Taszkientu do fortu Piotro-Aleksandrowsk, położonego w pobliżu morza Aralskiego, duży zapas nabojów, prochów i t. p.

Do stacji Czardżuj (na rzece Amu Darji) żadnych z tem kłopotów nie miałem, ponieważ w owe czasy już przeprowadzono Średnio-Azjatycką kolej żelazną. W Czardżuju zaś trzeba było przeładowywać się na „barżę", t. j. dużą barkę i dalszą podróż odbywać, płynąc z wodą, zupełnie tak samo, jak chodzą u nas tratwy. Sposób takiej lokomocji jest, wprawdzie dość tani, ale długi i strasznie nudny. O holowaniu barki przy pomocy statku nie mogło być mowy, ponieważ Amu-Darja należy do bardzo kapryśnych rzek: nietylko lubi zmieniać swe łożysko, ale wysepki i mielizny wyrastają, gdzie najmniej ich się można spodziewać, więc gdyby statek wpadł na taką mieliznę, to barka mogłaby go najechać i uszkodzić. Dla ilustracji pozwolę sobie zrobić tu wzmiankę o kolejowym moście na palach w okolicy Czardżuja. Inżynierowie mieli z nim nie mało kłopotu, bo pale miejscami tylko wisiały na poręczach i chwiały się, jak zepsute zęby; jutro będą chwiać się inne, ale te wczorajsze już mogą mocno się opierać o dno. Pociągi przechodziły przez most, jak to się mówi, noga za nogą; na przedzie szła mała lokomotywa, czemuś zwana kukułką, w rodzaju tych, jakie kursują na naszych podjazdowych kolejach, tylko więcej elegencka; przed ową kukułką szedł wolnym krokiem kolejowy urzędnik z niewielką, czerwoną chorągiewką. Okna wagonów były pozamykane, palenie papierosów wzbronione; wzdłuż mostu stała warta. Przejazd ten nie należał do przyjemnych, tembardziej, że słychać było skrzyp więzów, a przez okna widać było kłębiącą się pianę przy słupach mostowych. Niektóre panie nawet chowały głowy w poduszki. Rzeka Amu-Darja, mając wartki prąd, płynie po glebie loessowej, t. j. składającej się z drobnego, glinianego pyłu, łatwo burzącego się i nadającego wodzie kolor mlecznej kawy. Po nocach, od czasu do czasu dawał się słyszeć huk, niby od zrzucanych z wysokości, desek na ziemię, to opadały podmyte wodą brzegi. Otóż po takiej dziwacznej rzece musiałem odbyć parotygodniową podróż z szybkością czterech wiorst na godzinę.

Załogę barki stanowili: sternik, człowiek niemłody, wielki pedant i specjalista w przeprowadzaniu barek, kilku żołnierzy przydzielonych do marynarki, ja i moi konwojenci. Ja i sternik mieliśmy maleńkie kabinki z pryczami i stolikiem, potem była niewielka sala jadalna, a dalej pomieszczenie dla żołnierzy; kuchnia też osobna; słowem, było dość dogodnie.

Zaledwie odjechaliśmy kilkanaście kilometrów, gdy już wpadliśmy na mieliznę. Zaraz od barki odbiła łódka i zarzuciła opodal kotwicę; drugi koniec liny od kotwicy był umocowny do wiertaka na ryfie; żołnierze kręcąc z całej siły wiertak, nakręcali na niego linę; lina skracała się i ściągała nas z mielizny. Niełatwo to szło. Najwięcej byliśmy w strachu, kiedy trzeba było nocować na mieliźnie, gdyż fale, wzmocnione wiatrem, mogły uszkodzić barkę. Płynęliśmy tylko we dnie, nocą przybijaliśmy do brzegu.

Przeklęte życie — mówili żołnierze. Dziesięć potów z człowieka spłynie, nim się ściągnie statek na głęboką wodę. Jeszcze choroby jakiej można tu się nabawić, a w razie pęknięcia liny, to i kalectwo gotowe.

A gdy płyniesz, to leżysz brzuchem do góry i cygarka smalisz — perorował sternik. — Nie darmo was ryżem karmią i baraniny macie poddostatkiem, a jeszcze na życie narzekacie. Żeby zleźć z mielizny, pchajcie mocniej wiertak, to i marudztwa nie będzie. Spróbowalibyście na morzu, na jakim żaglowcu, prędkobyście sadła się pozbyli, a teraz popatrzcie na siebie jak w lustro: u każdego pysk aż wstyd, na cztery strony się rozpływa. Leniuchy!

Z całej załogi pozostał mi w pamięci niejaki Kogut (akcent na ostatniej sylabie), po pierwsze dlatego, że brał on udział w mojem zajściu z tygrysem, a powtóre, że był wielki gaduła, filut i leń pierwszej wody: gdy ludzie biegną do wiertaka, Kogut zawsze znajdzie pretekst, by pobiec do kuchni. Pochodził on z Podola.

— Żeby tak do nas sprowadzić którego z tych azjatów z wielbłądem — słyszę, mówi Kogut do kogoś za przegródką — to można byłoby ich na kiermaszach pokazywać; trzeba tylko, żeby broda była czarna i zawój biały. Nieźle na tym interesie dałoby się zarobić. Jak myślisz? A teraz daj papierosa...

— Skąd ci go weźmę — odpowiada inny głos.

— Jakto skąd?! Wiadomo: z kieszeni.

— Toż i twoja nie dziurawa.

Innym razem podsłuchałem dyskusję Koguta o uprawie ryżu.

— U nas też można byłoby ryż siać. Poczekaj, kiedy go oni tu sieją? W marcu, prawda? A zbierają w lipcu. U nas też można byłoby zasiać go w kwietniu, a zbierać w sierpniu. Trzeba tylko kilka płytkich sadzawek wykopać. Toby się ludzie dziwowali. Prawda? No, daj mi pociągnąć z twojej fajeczki.

. . . .

— Na jutro u nas mięsa niestanie, — mówi mi sternik — nawet barana po drodze nie udało się kupić. Żeby to pan był łaskaw zapolować na bażanty, moglibyśmy na wieczór, a jeszcze lepiej na jutro, ładną pieczeń mieć. Dzisiaj trzeba będzie zawczasu przybić do brzegu, bo barka w jednem miejscu przecieka. Tu miejscowość nieco zalesiona, więc akurat do polowania.

— Żeby tak u nas zaprowadzić bażanty — nie wytrzymał, aby wtrącić swoje trzy grosze Kogut. — Oj, ileby panów przyjeżdżało na polowanie... I zapłaciliby, aby tylko popolować.

— Niech pan z sobą i Koguta bierze, — przerywa mu sternik, — wszystko jedno, żadnej korzyści z niego niema, a we dwóch doskonale można zapolować. Pod wieczór bażant ciągnie w zarośla, w pobliżu „tuhajów" (gaików) najodpowiedniejsze teraz miejsce. Jabym sam z panem poszedł, ale koło barki trzeba się pokręcić. A ty, Kogut, umiesz strzelać z dubeltówki?

— Ja, proszę pana sternika, jestem zawołany myśliwy, — odpowiada Kogut, prosto patrząc w oczy. Widocznie chciało mu się pospacerować po brzegu. — Bywało w domu, ojciec nieraz kropił mię paskiem...

— Ciebie i teraz warto kropić.

— No to leć do kabiny i bierz moją fuzję, tylko ostrożnie, pamiętaj!

Tymczasem barka dobiła brzegu i zarzuciła liny. Dnia zostawało niewiele, więc trzeba było się śpieszyć. Nie uszliśmy paruset kroków, gdy spłoszyliśmy bażanta, który pociągnął w stronę gaiku. My za nim. Nie dochodząc do zarośli, rozeszliśmy się: Kogut poszedł polem, a ja brzegiem lasku. Wnet bażanty zaczęły porywać się to tu, to tam. Jak przystało na młodych myśliwych, zaczęliśmy się gorączkować. Cały sekret tego polowania polega na tem, że trzeba bażantowi dać wyrównać linję, wówczas ciągnie on równo i spokojnie, a myśmy się obydwaj gorączkowali. Strzelałem źle, a Kogut poprostu fatalnie, jakby nigdy fuzji w ręku nie miał. Strąciłem zaledwie trzy sztuki, a każdy inny na mojem miejscu nabiłby nie mniej niż tuzin. Kogut nie zabił ani jednego. Obeszliśmy gaik i już chcieliśmy skierować się do sąsiedniego, odległego może o jaki kilometr, kiedy widzę, Kogut utknął nosem w ziemię i daje mi znaki ręką. Podchodzę.

— Panie — mówi prawie szeptem — tygrys gdzieś w pobliżu siedzi.

— Jaki tygrys? Co ci się przyśniło?

— O, to jego ślady.

I Kogut ręką wskazał na ziemię.

Rzeczywiście, na glebie widać było odciski łap tygrysich, wielkości może talerza. Jeden z nich był jakby drukowany: cztery palce zupełnie wyraźnie odbijały się na glinie; pięta trafiła na kępkę trawy... Obok drugi — mniej wyraźny...

— A żeby ciebie, — pomyślałem w duchu. — Może to czyjeś inne ślady.

Nie, to były napewno ślady tygrysa...

Nerwowo starałem się ogarnąć okiem cały teren przed sobą, lecz podejrzanego tym razem nic nie zauważyłem. Aż patrzę... Niema mego Koguta, już znikł...

— Panie poruczniku, słyszę jego głos daleko za sobą, tygrys zawsze ostatniego chwyta!...



„Fenomen" zabity przez M. ks. Radziwiłła dn. 8.7.31 w dobrach Słupeckich woj. Kieleck.

Widzę, Kogut łupi prosto w stronę rzeki, ku barce, aż kurzy się za nim. Dreszcz przeszedł mi po skórze. Co robić? Uciekać? Niemożliwe, tygrys jednym susem mnie dopędzi. Bażanty zupełnie już mi z głowy wyskoczyły... Trzeba myśleć o ratunku. Teren był zupełnie równy, więc tygrys przyczaić się nigdzie nie mógł, jedynie od strony gaju groziło niebezpieczeństwo, ale nie tego bliskiego, bośmy go spenetrowali, ale tego drugiego, o jakie tysiąc kroków od nas. Zatrzęsło mną, jak w febrze. W tej chwili przypomniałem sobie, że mam jeden nabój z kulą dumdum; zaglądam do ładownicy, ale metalowej łuski

z kulą nie widzę, najwidoczniej w pośpiechu zapomniałem wziąć z sobą... I bądź tu bohaterem! Trzeba wycofać się tyłem, przemknęło mi przez głowę. Jedno pozostaje: jak tylko tygrys wyskoczy, będę mu prosto w pysk celował, może w ślepie trafię. Była to dziecinna myśl, ale chwytam się tej myśli, jak ostatniej deski ratunku. Zaczynam ostrożnie cofać się, trzymając dubeltówkę z odwiedzionymi kurkami... Nogi wprost dygotały podemną. Jak długo trwała ta moja defensywa, doprawdy określić nie mogę: może godzinę, a może pięć minut. Szedłem i szedłem... Nagle słyszę poza sobą jakiś niesamowity hałas, niby czyjeś głosy... Wyobraźnia, czy nie wyobraźnia? Ledwie panuję nad sobą i odwracam głowę. Widzę, biegną żołnierze z barki z karabinami w ręku. Uf! Odetchnąłem. Wciąż jednak idę tyłem... Teraz dopiero zacząłem przychodzić do siebie...

Okazało się, że Kogut dobiegł do barki i zaalarmował całą załogę. Sternik podniósł wszystkich na nogi i biegiem ruszono w moją stronę.

Kiedyśmy się spotkali, równowaga ducha wróciła mi zupełnie. Spokojnym głosem zacząłem opowiadać o naszem polowaniu.

— Ale poczekajcie panowie, — mówi sternik, — jaki teraz miesiąc mamy? Przecie wrzesień.

— A tak, — odpowiadają mu — oczywiście wrzesień.

W lot zrozumiałem cały sens pytania.

— Ma się rozumieć, że wrzesień, — mówię — a deszcze kiedy mogły tu wypaść ostatnim razem? W końcu maja najdalej, bo latem deszczy prawie niema. Więc tygrys mógł zaglądać do tych miejscowości w maju, kiedy gleba była rozmiękła. Zatem to tygrys majowy, a nie pomajowy. Strachu niema. Chodźmy popatrzyć na jego ślady, to ciekawe.

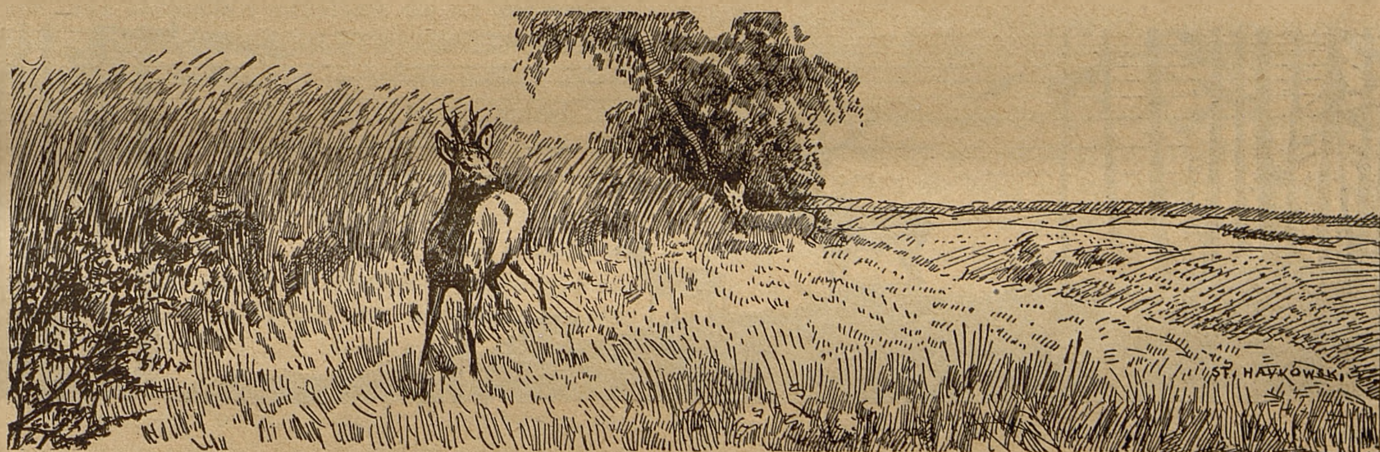
— Ależ to już późna pora, zaraz słoneczko zajdzie, — odzywa się Kogut, — trzeba bażanty oskubać.

— Kto inny oskubie, a my zajdziemy tymczasem do tego drugiego gaiku. No, co?

— Doprawdy, zapóźno już, — odpowiada za niego sternik. Bażanty pochowały się już, nic nie będzie z polowania, a jutro skoro świt, trzeba w drogę i tak zamarudziliśmy się bardzo.

— Chwała Bogu, — pomyślałem w duchu, — że nie udało się ich namówić. Choć tygrys przedmajowy, ale zawsze...

EMERES.



Z PODLASKIEGO BORU.

Blady świt zarysował się na wschodzie, zwiastując rodzący się dzień, gdym żegnał dwukrotnem przekręceniem klucza swą siedzibę, udając się na przełaj, przez zorane pola, omijając wieś, by mi baba z pustem wiadrem nie przeszła drogi, do lasu. Gdym doszedł do jego skraju, blady świt powlekła purpura, nad ziemią lekko unosiła się szara mgła; jedna i druga pożegnały mnie, gdym wszedł w gęsty, brzozowo-sosnowy zagajnik, w którym powitały mnie duże, srebrzyste krople rosy wiszące na końcach igliwia sosen i bladych listkach brzeziny: to owoc nocy stworzony wszechmogącą ręką Wszechtwórcy. Tu i tam niby pomniki, wystają nad ziemią grzyby, jedne już stare, drugie młode wyglądają z pod opadłych, zżółkłych liści, by szczycić się swą krasą młodości i piękności. Życie lasu spało jeszcze uśpione tajemniczą ciemnością nocy, tylko przezemnie spłoszone już, nieliczne ptaki odpoczywające na gałązkach drzew, zrywały się, by zasiąść nieco dalej i jeszcze podrzemać. Z trudem przedarłem się przez gąszcz na wąski dukt leśny, na którym wyraźnie można było już na rosie odróżnić sznurowanie lisa od tropów zajęczych i sarnich. Koło młodego zagajnika przeszło mi drogę troje młodych sarniąt i stara koza, dalej wśród młodej dębiny pasły się dwoje sarniątek młodych i stara, jeszcze dalej o 150 kroków ładny rogacz. Szedłem cicho i wolno, żeby ich nie spłoszyć, by mogły się do syta najeść. Doszedłem wreszcie do miejsca, które tu od kilku dni rano odwiedzam, a w którem któregoś poranka widziałem silnego rogacza o nienormalnem, lecz ślicznem porożu.

Usiadłem wygodnie na grubo mchem pokrytej, od kilku lat powalonej osinie, lustrując lornetką przedemną szeroko rozpostarty zrąb; podniosłem kołnierz, zarepetowałem mauzer i tak postanowiłem czekać, aż zjawi się ów wybrany kozioł. Wiele już poranków w tem czy innem miejscu i celu przesiedziałem, jestem do tego od młodych lat przyzwyczajony, lecz tu mimowoli słodki sen zaczynał mi przymykać powieki. To skutki mile spędzonej chwili ubiegłego wieczoru na partyjce preferansa w towarzystwie szczerze lu-

bianej panny Heleny, od której niezłą otrzymałem nauczkę, jak grać należy. Po kilku minutach otrzeźwia mnie swem wymyślaniem pracowita wiewiórka, która przeraziła się mej osoby, idąc do codziennej pracy gromadzenia zapasów żywności na zimę, po chwili znów mysz czy pilch poczęły gryźć coś pod osiną, gdzieś w oddali zakwiliła kania, pozatem cisza grobowa, że słychać bicie własnego serca. Znów powieki zasłoniły oczy na chwilę, wtem słyszę szelest, otwieram oczy i naprzeciwko mnie na pięć kroków widzę, jak stoi mój wymarzony rogacz. Nie wierzę własnym oczom, przymrużam powieki, otwieram powtórnie — tak to nie sen, to rzeczywistość; rogacz stoi na pięć kroków, ten sam, na którego czekam tu co ranka od — tygodnia; stoi teraz przedemną jakby na wezwanie, i spokojnie ogląda śmiercionośną broń w moim ręku, z szeroko otwartemi oczami, w których czytam dobroduszność. Stoi z powagą, majestatycznie, zaczyna skubać trawkę prawie z pod moich stóp zaszytych w krzaku leszczyny. Mam go teraz tak blisko, że czuję jego mdły oddech i wyraźnie słyszę bicie jego pulsu, widzę dokładnie jego cudne rogi, lewy o trzech odnogach, prawy niby duży ziemniak obsypany groszkiem. Podnosi łeb i znów wpatruje się w koniec wystającej z krzaków lufy, przeczuwa widocznie coś złego, bo ogląda się za siebie, niby węszy i znów nachyla się, skubiąc trawkę; oddala się powoli w stronę zagajnika; ręce drżą mi, serce łomoce mocno, krew uderza, czuję w całym sobie ciepło mimo chłodnego poranka, myśli pracują zawzięcie, walcząc z sobą, i wreszcie zwycięża „nie" — nie, tak cudnego stworzenia nie zabiję, nie mogę, przecież to ozdoba naszych lasów, to moja kilkoletnia praca, moje trudy, mozoły, nieprzespane noce, walki z kłusownikami, co wszystko dało jaki taki rezultat, a dziś mam zdrowe, rwące się do życia stworzenie własną ręką zabijać; nie wolno mi tego robić, byłbym niszczycielem, marnotrawcą własnej, ciężkiej pracy, którą kocham od zarania swego życia, a w której się tak zaprawiłem, że bez niej dziś nie umiałbym żyć. Czuję się niemniej szczęśliwym, jak ów rogacz, który uszedł niechybnej śmierci, że wolno mi pracować w zawodzie, który od młodości pokochałem. Każde drzewko, każda roślina, każde dzikie stworzenie jest mi drogie, jest przezemnie kochane, a jeszcze szczęśliwy jestem, że umiem wyczuwać potrzeby tych istot żyjących dziko na łonie przyrody i umiem im przychodzić w wielu wypadkach z pomocą. Piekne jest życie człowieka, jeżeli umie wyczuć i ocenić piękno życia przyrody.

A. ST.



POLOWANIE Z AMBONY.

Daleko idące różnice w charakterze łowisk, wywołane w tak zwanych łowiskach kulturalnych, odmiennemi zamierzeniami człowieka — oraz w zależności od owych różnic, lokalne zwyczaje zwierzyny, wymagają w stosunku do grubego zwierza stosowania nieraz zgoła odmiennych metod polowania. Ostatecznie, w granicach dopuszczalnych dla danego, a w obecnych warunkach i okolicznościach nieraz pod względem obszaru niedwuznacznie szczupłego terenu łowieckiego — w niemałej mierze decydujący wpływ na wybór stosownej, dla danego gatunku zwierzyny, metody polowania wywierają również indywidualne nawyczki i zamiłowania, jak również fizyczne możliwości danego myśliwego. Pozostawiając zupełnie na uboczu polowania z naganką, t. zw. ciche mioty — jako ten rodzaj polowania, który wymaga jaknajdalej idących kwalifikacyj łowieckich myśliwego, daje z punktu widzenia etyki łowieckiej oraz hodowli zwierzyny pole do najdalej idących nadużyć i jako taki, winien być w lwiej części stosowanych wypadków, raczej zaniechany — musimy ograniczyć wybór rodzaju polowania do dwóch zasadniczych odmian. Pozostaje nam tylko polowanie z podchodu lub podjazdu oraz z zasiadki. I jeden i drugi sposób wykonywania polowania ma swych zdecydowanych wrogów i zwolenników. A i jeden i drugi sposób nadaje się wbrew naogół panującemu przekonaniu znakomicie na to, by przez nieumiejętne stosowanie go, radykalnie zepsuć zwierzynę i tem samem w wielkiej mierze uszczuplić szanse łowów. Sympatycznemu skądinąd podchodzeniu zwierzyny, dającemu w kniei bogatej w zwierzynę, niemało urozmaicenia i obfitującemu w rozkoszne emocje łowieckie, towarzyszy prawie powszechnie przez myśliwych stosowany błąd wykonywania go nawet bez potrzeby, prawie wyłącznie w bardzo wczesnych godzinach rannych oraz w porze bezpośrednio poprzedzającej zmrok. Jeżeli bowiem w odniesieniu do jeleni po za małymi wyjątkami i w odniesieniu do dzików wyszczególnione pory dnia są bezsprzecznie najodpowiedniejsze, to—naturalnie uwzględniając niektóre lokalne warunki — na ogół nie wymagają sarny — owa najwięcej rozpowszechniona u nas zwie-

rzyna z pośród tej, której nieodzownym warunkiem racjonalnego odstrzału jest stosowanie daleko idącego wyboru i selekcji — absolutnie tak wczesnego wyrywania się z objęć Morfeusza. Kozły bowiem z reguły żerują również w późnych godzinach rannych i nawet przedpołudniowych, a w skrajnem przeciwstawieniu do bardzo wczesnych godzin nie napawa ich w porze późniejszej widok człowieka, ani zbyt wielką obawą, ani też nie nasuwa im zgubnych á la longue podejrzeń.

Bezsprzecznie mniej okazji do płoszenia zwierzyny nastręcza polowanie na zasiadkę, aczkolwiek i tu pamiętać trzeba o niepopełnianiu błędów, mogących również pociągnąć za sobą zgubne i niezamierzone konsekwencje. Kardynalnym warunkiem już nietylko powodzenia łowów, lecz nawet daleko ważniejszego nieobudzenia czujności zwierzyny jest wybór stosownego miejsca zasiadki. Nie można zatem obierać stanowiska na czaty bezpośrednio w miejscach stale uczęszczanej wagi zwierzyny, lecz co najwyżej w pewnem od niej oddaleniu. Pierwszym warunkiem przy zasiadce przyziemnej pozostaje oczywiście stale uwzględnienie panującego wiatru i w niemniejszej mierze, warunkującej prądy powietrza, konfiguracji terenu i szaty roślinnej. Wreszcie conditio sine qua non jest umiejętność cichego zachowywania się na czatach oraz zbliżania i oddalania się od miejsca zasiadki we właściwym kierunku i o właściwym czasie. Zbędne byłoby dowodzenie, że usilnie unikać należy pozostawiania więcej własnych tropów, aniżeli potrzeba, że zatem na miejsce należy się udawać jaknajkrótszą drogą. Jeżeli miejsce wybrane na czaty znajduje się np. na skraju zagajenia, należy oczywiście unikać przekraczania wagi zwierzyny, a zważywszy, że w wypadkach takich zwykle istnieje większa iloś przesmyków, nie należałoby właściwie wogóle defilować wzdłuż zagajenia, lecz udawać się na obrane miejsce od zewnątrz zagajenia pod prostym kątem. Pora, w której myśliwy udaje się na swe stanowisko i z niego schodzi, jest niemniej ważnym czynnikiem. Wybierając się na zasiadkę, winien myśliwy dbać o to, by nie zetknąć się ze zwierzyną w tym czasie, gdy jest w ruchu, wychodzi na żerowiska lub z nich powraca. Grzeszy się tu najwięcej wieczorem, nie bacząc najczęściej na to, że np. jelenie nieraz długo wałęsają się po kniei, zanim ostatecznie o zmroku wyjdą na pola. Zasiadając zatem nad zagajeniem, oddzielonem od pól starodrzewiem lub drągowiną, trzeba stale liczyć się z możliwością spłoszenia jeleni, jeżeli pora jest zbyt późna. Myśliwy, udający się na zasiadkę, musi mieć również dosyć czasu, by po zapadnięciu zmroku nie śpieszyć się zbytnio z powrotem. Stanowisko swe winno się opuszczać dopiero z tą chwilą, gdy istnieje pewność, że w pobliżu nie znajduje się żadna zwierzyna. Żerujące w niewielkiem oddaleniu sarny lub jelenie, można zupełnie nieszkodliwie odpędzić przez kilkakrotne stuknięcie, np. delikatne złamanie gałązki lub t. p., przyczem oczywiście należy unikać zbytnich ruchów, by nie spłoszyć zwierzyny w dosłownem tego słowa znaczeniu. Pierwsze złamanie gałązki zwykle nie wywoła zamierzonego skutku, zwierzyna po jakimś czasie się uspokaja i zaczyna na nowo żerować. Kilkakrotnie powtarzające się, tajemnicze szmery stwarzają jednakże niepewną sytuację, z której zwierzyna woli się zawczasu wycofać. Analogiczne momenty odnoszą się do sytuacji po danym strzale.

Tam, gdzie podrastające młodniki i zagajenia, lub zbyt wysoki podszyt zamykają widnokrąg myśliwemu, zajmującemu stanowisko przyziemne, znakomite usługi oddają specjalnie zbudowane ambony. Rozszerzają one znacznie pole widzenia i stwarzają pewną, choć bardzo ograniczoną gwarancję, że zwierzynie trudniej zwietrzyć myśliwego. W kniejach, w których młoda wegetacja leśna zupełnie zakrywa korpus zwierzyny, dozwalając jedynie na oglądanie głowy lub karku, są one wprost niezbędne. Wznosimy je zwykle w pobliżu przesmyków lub naturalnych żerowisk, gdyż tylko w takich miejscach odstrzał zwierzyny jest z punktu widzenia etyki myśliwskiej dopuszczalny. Natomiast należy się kategorycznie zastrzec przeciwko stawianiu ambon w pobliżu wodopojów lub sztucznych żerowisk, a odstrzał w takich okolicznościach, z aż nadto zrozumiałych względów, jaknajsurowiej potępić. Nie należałoby zatem w pobliżu karmików tolerować również t. zw. ambon li-tylko obserwacyjnych, raz dlatego, że mało jest myśliwych, umiejących w danym momencie powstrzymać się od wykorzystania „nadzwyczajnej okazji", a powtóre dlatego, że należycie niedozorowana ambona przy paśniku, ułatwia tylko wykonywanie niecnego procederu kłusownikom i innym niepowołanym elementom.

Systemów budowania ambon jest wiele. Omawianie ich wykraczałoby jednakże po za ramy niniejszego artykułu, to też nie będę się na temat ten rozwodził. Wspomnę tylko, że nie powinny być one za niskie, najmniej wysokości około czterech metrów i po za tem nie za wąskie, by nie krępowały zbytnio ruchów myśliwego. Lepiej jest używać do ich budowy okrąglaków, aniżeli materjałów tartych, ponieważ pierwsze naturalniej w kniei wyglądają i po za tem nie znajdują tylu amatorów cudzej własności. Także ławeczka może być skonstruowana z kilku wałków raczej, aniżeli z deseczki, która nadzwyczaj łatwo ginie. Sytuacja w takim wypadku nie do pozazdroszczenia, jeżeli myśliwy przypadkowo nie zabrał z sobą krzesła myśliwskiego.

Korzyści, jakie daje ambona myśliwemu, są wielorakie. Rozszerzając widnokrąg, stwarza łatwiejszy wgląd myśliwego w sprawy nieraz dla niego ukryte, pozwala na ukrytą obserwację ewentualnych, uprawnionych lub nieuprawnionych przechodniów, umożliwia dłuższą i niespostrzeżoną obserwację i przegląd zwierzyny i tem same ułatwia przeprowadzenie racjonalnego odstrzału grubej zwierzyny oraz sarn.

Myliłby się jednakże, ten, kto sądziłby, że siedząc na ambonie, jest myśliwy absolutnie pewny przed wzrokiem, słuchem i powonieniem zwierzyny. Bogu dzięki zresztą, że tak nie jest, gdyż wówczas nie byłoby chyba już wogóle zwierzyny w naszych kniejach.

Najczęściej i najłatwiej dowiaduje się zwierzyna o obecności myśliwego za pomocą powonienia. Zdawaćby się mogło, że, nie natrafiając przeszkód terenowych, odprowadza wiatr „zapach" człowieka w kie-

runku mniej lub więcej poziomym, że zatem zdradliwe powietrze nie zdoła dotrzeć do wietrznika zwierzyny, znajdującej się daleko poniżej poziomu myśliwego, czatującego na ambonie. Tak jednakże nie jest. Wiatr rozchodzi się w coraz to rozszerzającym się promieniu na kształt przedłużonego snopa śrucin. Jasne zatem jest, że zależnie od siły wiatru, ludzki odwiatr, w mniejszej lub dalszej odległości od ambony, musi dotrzeć do wysokości wietrznika zwierzyny, która w ten sposób stwierdza obecność myśliwego. Sprawdzianem w tym wypadku mogą być minimalne cząsteczki waty lub jakiejkolwiek innej, lekkiej i na pewien dystans widocznej substancji, puszczonej z wiatrem, lub też zapalenie masy wydzielającej znaczne ilości dymu. Ostatecznie, nie uciekając się nawet do metody eksperymentalnej, można poczynić odnośne spostrzeżenia, obserwując zachowanie się zwierzyny. Zajmując np. stanowisko na ambonie wzniesionej nad prostą ścianą starodrzewia oddzielonego drogą od równolegle przebiegającego zagajenia, można — wnioskując z siły wiatru, dmącego wzdłuż drogi — przy pewnej wprawie zgóry z pewną dokładnością przewidzieć, w jakiej odległości zwierzyna niespokojnie podniesie wietrznik i całem swem zachowaniem zdradzi swą świadomość niebezpieczeństwa. Oczywiście nie można z tego rodzaju prób wobec ich niedokładności wyciągać praktycznych korzyści. Sama jednakże obserwacja przysparza myśliwemu wiele interesujących przyczynków. Istotnie spostrzeżenia takie można poczynić nieomal codziennie, i to nietylko w odniesieniu do jeleni, sarn, lisów i innej zwierzyny o wybitnem powonieniu, lecz także w odniesieniu do zajęcy.

Ostatnie twierdzenie niechai zilustruje następujący przykład: pewnego wieczoru siedziałem na ambonie postawionej nad zagajeniem sosnowem. Z lewej strony w odległości ok. 100 m. kicało spokojnie kilka szaraków, naprzemian żerując, to znów nadsłuchując. Nie poświęcałem im zbytniej uwagi, którą całkowicie pochłaniały stanowczo więcej pociągające, lekkie, metaliczne stuknięcia wieńców zbliżających się jeleni o gałęzie i pnie sosnowe. Nagle, rzuciwszy wzrokiem w bok, spostrzegłem kilka łań, wychodzących z zagajenia również z lewej strony w odległości ok. 200 metrów. Stosunkowo nagłym ruchem — co podkreślam — zwróciłem się wówczas w bok i podniosłem lornetkę do oczu w oczekiwaniu ukazania się rogala. Zmianę mej pozycji mogły były zające stwierdzić i za pomocą wzroku i za pomocą tak wybitnie rozwiniętego ich słuchu. Siedziały jednakże nadal i żerowały, nie zdradzając najmniejszego zaniepokojenia. Po pewnym czasie, nie doczekawszy ukazania się rogala, odjąłem lornetkę od oczu, nie zmieniając jednakże pozycji, gdyż na nowo rozlegające się odgłosy jeleni w zagajeniu zdradzały już teraz wyraźnie lewy kierunek ich wyjścia z gąszczy. W pewnym momencie poczułem lekki powiew wiatru, dmącego z tyłu. W duchu złorzeczyłem niefortunnemu zbiegowi okoliczności, mogącemu udaremnić tak szczęśliwie zapowiadające się spotkanie z jeleniami. Tem więcej wobec spodziewanego lada chwila ukazania się byków, siedziałem, nie wykonawszy najmniejszego nawet ruchu, jak przysłowiowa mysz pod miotłą. Nagle, ni stąd, ni zowąd, jak na komendę w dwie do trzech sekund po zadęciu wiatru szaraki dały słupka, i nie namyślając się długo, zaczęły się z początku niezdecydowanie, później coraz szybciej oddalać. Jeden z nich pozostał na drodze w oddaleniu ok. 150 metrów, reszta znikła w zagajeniu. Mniej więcej także w oddaleniu 150 metrów od ambony i zaledwie o kilka kroków od spokojnie znowu żerującego szaraka, przeszły przez drogę trzy rogale po upływie kilku minut. Jelenie nie mogły być zatem powodem zaniepokojenia i ucieczki zajęcy, — czyżby mnie zatem zwietrzyły?

Przedwczesne byłoby naturalnie wydawanie sądu na podstawie pojedynczego i odosobnionego przykładu. Ale mam ich więcej w zapasie. Uderzyło mnie niejednokrotnie, iż zające spokojnie żerowały nawet w bezpośredniem pobliżu ambony, jeżeli nie mogły dostać wiatru, wiejącego z kierunku ambony, w przeciwnym razie reagowały natychmiast i opuszczały przypuszczalny promień mego odwiatru. Najczęściej sytuacja przedstawiała się tak, że gruba zwierzyna oraz sarny i lisy spokojnie przechodziły, a zające siedziały od strony wiatru, z przeciwnej strony natomiast reagowanie zwierzyny było silne i prawie natychmiastowe po jej ukazaniu się. Najczęściej jednakże nie zawsze, co jednakże pozostaje w związku z trudnemi nieraz do zdefinjowania zboczeniami wiatru i zmiennymi prądami powietrza. Pozostawiając jednakże chwilowo na uboczu tę nową dziedzinę, utrudniającą niesłychanie polowanie z ambony i przekreślającą nieraz wszelkie rachuby i kombinacje czatującego na zwierzynę myśliwego, powróćmy do sytuacyj, towarzyszących normalnemu przebiegowi prądów powietrznych.

Z powyższych przykładów wynika jasno, że szanse myśliwego wzrastają — oczywiście z wykluczeniem innego rodzaju niemniej ważnych czynników, o których mowa będzie poniżej — w miarę zwiększania się wysokości ambony. Im wyższa bowiem ambona, tem dłuższa jest droga, którą wiatr, wiejący od ambony, przebyć musi, zanim zniży się do wysokości wietrzników zwierzyny. Oczywiście i pod tym względem nie należy zbytnio przeholować, gdyż z jednej strony w najczęstszych wypadkach na przeszkodzie stanęłyby niższe gałęzie, zasłaniające widok myśliwemu i poza tem zbytnia wysokość ujemnie oddziaływa na jakość strzału kulowego.

Jeśli ambona znajduje się, jak w wyżej opisanych wypadkach, na skraju zagajenia zwartego i gęstego, utrudniającego dostęp prądom powietrza, to najkorzystniejszy bezsprzecznie jest wiatr, wiejący od ambony pod prostym kątem wprost na zagajenie. Zazwyczaj zwierzyna z boków ambony wychodząca, nie dostrzega obecności myśliwego, nawet znajdując się w bezpośredniem jego pobliżu. Zdarzyło mnie się niegdyś, że kozieł przy takim wietrze z zaplecza mego wyszedł na drogę i spokojnie żerując, zbliżał się coraz to więcej do ambony, wreszcie się z nią zrównał, potem ją minął, nie zwróciwszy na mnie najmniejszej uwagi, by po przejściu w ten sposób kilkudziesięciu metrów znów utonąć w starodrzewiu, z którego był się wyłonił.

(Dok. n.). W. SZCZERBIŃSKI.



Z DOŚWIADCZEŃ NAD LIZAWKAMI.

W związku z wydrukowanym niedawno w „Łowcu Polskim" artykułem o „rewolucji lizawkowej" podajemy świeże doświadczenia poczynione w Niemczech z lizawkami.

Autor opisuje rewir w Saksonji, obejmujący 5.000 morgów. Poprzedni dzierżawca był niedbały i zostawił marny zwierzostan. Nie było tam ani lizawek, ani paśników, polan hodowlanych i t. p. Odstrzał był bezplanowy. O tępieniu drapieżników też nikt nie myślał.

Nowy dzierżawca zabrał się do uporządkowania stosunków i zaprowadzenia prawidłowej gospodarki łowieckiej, która już po upływie jednego roku dała pomyślne wyniki.

Urządzono też lizawki w nieckach glinianych. Ale zwierzyna nie brała soli. Wtedy zmieniono te niecki na sztrasfurckie kamienie lizawkowe. Umieszczono je w zagajnikach w pobliżu przesmyków, wsadzając między grube widły gałęzi na wysokości pół metra, gdzie umocowanie było zupełnie dostateczne. Skutek okazał się już po upływie kilku dni. Sarny lizały regularnie przed żerowaniem. Liczne tropy zajęcy i królików świadczyły, że i ta zwierzyna brała sól ociekającą po pniu drzewa.

Lizawek takich ustawiono kilka w rewirze, do którego przez to przeniosły się po upływie roku liczne sarny z okolicy. Letnią porą zjawiły się przy lizawkach także jelenie, które opuściły rewir dopiero w czasie rykowiska, a w grudniu powróciły. Wreszcie zjawiły się także trzy daniele. Że przywabiła je tylko lizawka, świadczy to, iż dawniej nigdy prawie nie widziano w tym rewirze wekslujących jeleni, ani danieli, które teraz są tutaj zwierzyną niemal stałą.

Pozatem były inne także skutki pomyślne. Parostki kozłów tak się ukształtowały świetnie w przeciągu 2 lat korzystania z lizawki, że stały się popisowymi. Ilościowo też znacznie się zwiększył stan sarn i zajęcy.

Koszty były nieznaczne, gdyż centnar lizawki kosztuje 4.50 — 5.00 marek.

W tej samej sprawie pisze dyrektor lasów izby rolniczej w Kasselu, W. Mahr, zastanawiając się nad objawem, że w niektórych miejscowościach zwierzyna nie korzysta z lizawek.

Zbadawszy jeden z rewirów takich, stwierdził, że tam lizawki były bardzo prymitywnie urządzone. Wykopano tam tylko płytkie dołki, w których umieszczono lichą glinę zapiaszczoną i pomieszaną z niewielką ilością soli bydlęcej.

Zamiast tego więc kazał sporządzić skrzynie o rozmiarze 50 cm. kwadr., które do połowy wpuszczono w ziemię. Do nich wkładano czystą i tłustą glinę oraz po 10 kg. soli zmieszanej z anyżem i proszkiem korzenia fiołkowego. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim sarny przyzwyczaiły się do spożywania soli stamtąd. Ale już po roku wyniki okazały się doskonałymi.

Podobne doświadczenie zrobiono w drugim rewirze, postępując w ten sam sposób co powyżej, tylko z tą różnicą, że zamiast soli bydlęcej, zakładano kuchenną. Jednocześnie zaś zakładano dla próby w paru miejscach sól bydlęcą. Stwierdzono pozatem, że sarny i jelenie biorą nader chętnie sól kuchenną, unikając bydlęcej.

Dalsze doświadczenia z innego rodzaju kamieniami lizawkowymi, specjalnie fabrykowanymi, wykazały, że zwierzyna chętnie z nich korzysta.

Autor zbija dalej mniemanie, jakoby zwierzyna brała chętnie sól jedynie w czasie lenienia się.

W rewirze doświadczalnym było około 40 jeleni i 50 sarn. Urządzono zaś dla nich lizawki w 100 miejscach. Obok każdego paśnika zimowego zakładano po 8 do 12 lizawek.

Co się tyczy cen, to autor podaje, że najdroższe są kamienie lizawkowe, wapienno - solne, których centnar kosztuje w fabryce 10 marek; kamienie „patelniane" kosztują zaledwo 3 marki już z opakowaniem w salinie, takie same z aromatycznym zapachem — 3.50, lizawki „miedziane" — 7 m. za centnar. Nie stwierdzono jednak, żeby aromat lizawek bardziej przyciągał zwierzynę.

Bardzo odpowiedniem miejscem do zakładania lizawek są polana wśród gęstego lasu, na które zwierzyna wychodzi, żeby się wygrzewać w słońcu.

W rewirze jelenim nie należy zakładać pojedynczych lizawek, lecz zawsze po 3 do 5 na odległości 15 do 20 m. od siebie. Przy paśnikach zimowych powinno być po 1 lizawce na 3 jelenie.

SPRAWA BOCIANÓW.

Niemiecka prasa łowiecka zajmuje się w ostatnich czasach dość często sprawą rozmnożenia się bocianów i badaniem ich trybu życia. Ostatnio zabrał głos w tej sprawie przedstawiciel stacji badania ptastwa w Rożewiu (Rossiten), dr. E. Schuetz, stwierdzając, że życie bociana, tak przecież łatwego do obserwowania, dotąd jednak nie jest dostatecznie znane. Wiele też kwestyj z tego życia jest spornych.

Jedni twierdzą, że bocian zdolny jest do niesienia jaj po roku życia. Inni mówią, że ptak ten dojrzewa w tym kierunku dopiero po dwóch — trzech latach życia. A zanotowano fakty, że bocianice liczące już 5 — 6 lat, jeszcze nie rozpoczynały niesienia się i wysiadywania.

Jest to tembardziej uderzające, że czaple naprzykład już stanowczo w drugim roku życia zaczynają się nieść. To samo dzieje się u mew - śmieszek.

W Rożewiu w pobliżu „stacji" badano gniazda bocianie, których jest tam cztery. Jedno założone zostało przed 25 laty; drugie, nowe, odnaleziono dopiero dwa lata temu; dwa pozostałe są opuszczone. Dlaczego tak się dzieje, że jedne gniazda są stale zajmowane, a inne stale stoją pustkami, dotąd nie zdołano ustalić.

„Stacja" niemiecka przeprowadza teraz badania w celu obliczenia ilości bocianów i ich gniazd w Prusiech Wschodnich.

Statystyka taka ma odtąd być przeprowadzana co roku w przeciągu 10 lat, poczem dopiero zacznie się ją opracowywać i wyprowadzać należyte wnioski, dotyczące sposobu bytowania bocianów.

Na ogół zauważono w roku bieżącym w Niemczech o wiele obfitszy, niż innych lat, nalot bocianów. Pozatem stwierdzono w latach ubiegłych, że w okolicach, gdzie nastąpiło intensywniejsze uprzemysłowienie rolnictwa oraz osuszenie bagien, liczba bocianów zmniejszała się z roku na rok.

W niektórych miejscowościach zaobserwowano zacięte walki między bocianami o zdobycie opuszczonych poprzedniego roku gniazd. Uczyniono przytem ciekawe spostrzeżenie, że przygotowanego sztucznie przez człowieka, gniazda bociany nie zajmowały, lecz walczyły między sobą o zajęcie obok znajdującego się gniazda naturalnego, zeszłorocznego.

W sprawie bocianów donosi „D. Jaeger-Zeit.", że na wiosnę pod Durbanem w Afryce południowej w pobliżu góry Chatkinpeak znaleziono ogromne mnóstwo bocianów zabitych przez grad. Leżały one wszystkie na obszarze obejmującym około 100 kroków wszerz i ¾ mili angielskiej wzdłuż. Na tem miejscu zgromadzały się zawsze bociany przed odlotem do Europy.

ZACHODNIO - POMORSKI KLUB MYŚLIWSKI W CHOJNICACH.

Dnia 5 lipca po południu urządzono w lasach Krojantowskich doroczne, premjowe, konkursowe strzelanie myśliwskie. Pogoda sprzyjała tak, że duża ilość członków i gości się stawiła. Strzelano ze sztucera myśliwskiego do różnych tarcz i z fuzyj do rzutków. Pan Konstanty Łyskowski z Komorowa, mistrz pomorski, strzelał także do wszystkich tarcz, lecz po za konkursem, a rezultat jego odbijał się od rezultatu wszystkich strzelców. Do tarcz ze sztucera osiągnął razem 84 punktów, a do rzutków 95%; otrzymał za to honorową nagrodę. Rezultaty były następujące:

Do tarczy pierścieniowej na 88 m. był:

I. p. Witold Sikorski z Leśna 32 p.

Do rogacza stojącego na 80 m. był

I. p. Witold Sikorski z Leśna 31 p.

Do dzika biegnącego na 80 m. był

I. p. Ignacy Sikorski z Chojnic 22 p.

Po zliczeniu wszystkich punktów w strzelaniu sztucerem otrzymali nagrody:

I. p. Alojzy Pruszak z Krojant.

W strzelaniu z fuzji do rzutków otrzymał nagrodę:

I. p. Adam Wolszlegier z Cołdanek 80%.

Na końcu strzelano do tarcz honorowych ze sztuceru i po jednej zdobyli pan starosta Woronowicz z Tucholi, p. Alojzy Pruszak i p. dr. Jan Łukowicz.

ŁOWIECTWO NA WYSTAWIE W TARNOPOLU.

W uzupełnieniu informacyj o dziale łowieckim na wystawie regjonalnej i rolniczej w Tarnopolu, o której już pisaliśmy w „Łowcu Polskim", przytaczamy jeszcze niektóre szczegóły z obszernego sprawozdania p. Al. Ulma w „Łowcu" lwowskim.

Na wystawie tej nader ciekawe były świeże trofea p. Jerzego hr. Potockiego, z Pomorza. A więc był zbiór szabli dziczych, skóra olbrzymiego niedźwiedzia zabitego w r. 1930 w Sołotwinie; dwa wieńce jeleni ubitych w Polanicy w latach 1927 i 1929; głowa dzicza, dobrze spreparowana; piękne różki sarnie.

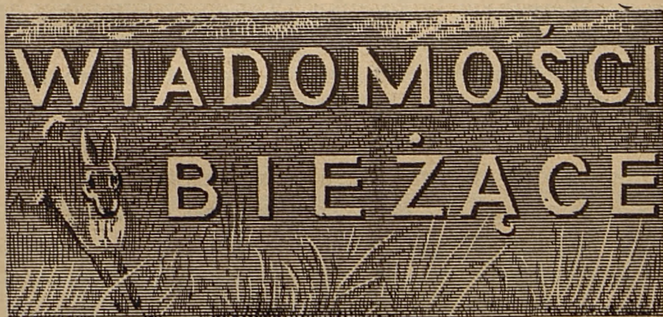
Klub Myśliwski w Brzeżanach wystawił między innemi 3 skóry dzicze i piękne szable; rysia dobrze wypchanego, zabitego przez p. Szefpińskiego i skórę olbrzymiego dzika, zabitego przez p. Goldenberga z Monasterzysk.

P. Jerzy hr. Baworowski z Ostrowa wystawił między innemi wieniec jelenia z r. 1920 i parostki sarnie z r. 1917, odznaczające się pięknem uperleniem.

P. Ludomir Cieński wystąpił m. in. z ładnym jeleniem i piękną głową dzika ubitego w r. 1928; skórą niedźwiedzia z preparowaną głową, ubitego w r. 1930; 2 wilczemi skórami i rysiem wyjątkowo pięknym.

Ordynacja Chorostkowska dała wspaniałe szable dzicze i 2 głuszce ładnie spreparowane.

W dioramie pokazywano wyłaniającego się z gąszczów smereków, ciekawego, białego rogacza; kryjące się wśród żyznych rozłogów podolskich stado kuropatw, które z ciekawością obserwuje lis; jeziorka i strumyki obsiane ptactwem błotnem i wodnem, wśród którego wyróżnia się zabłąkany pelikan.



— **Odczyt przez radjo.** — Dnia 9 sierpnia o godz. 15 m. 30 p. Jerzy Dylewski wygłosi w Radjo przemówienie na temat: „Łowiectwo częścią gospodarstwa narodowego".

— **Nowiny o żubrach.** — W uzupełnieniu podanych w „Łowcu Polskim" wiadomości o wycieczce do żubrów białowieskich, przytaczamy w streszczeniu nowe szczegóły z bardzo obszernego sprawozdania w „Dzienniku Poznańskim" nestora łowiectwa wielkopolskiego, p. Władysława Janta-Połczyńskiego.

23 listopada r. z. ukazał się pierwszy przychowek męskiego rodzaju, za nim 4 czerwca r. b. ulągł się drugi, tym razem żeński potomek; 27 czerwca odeszła para poznańska, którą 21 kwietnia r. b. tamtejszy ogród zoologiczny sprzedał ministerstwu rolnictwa. Wkrótce spodziewany jest jeszcze jeden przychówek. Od 19 września 1929, czyli w niespełna dwóch latach podniosła się liczba żubrów dwukrotnie, czyli do 10 sztuk. Według układu z naczelną dyrekcją lasów państwowych, jako zastępstwo oddany zostanie pozn. zwierzyńcowi jeden z dwóch buhajów znajdujących się w zwierzyńcu warszawskim.

Do nowych urządzeń należy: odłączenie szkodliwego dla zwierzostanu przypływu wody strumiennej i zastąpienie go studnią; wystawienie osobnej szopy dla karmienia przychówku, przygotowania dla powiększenia rozmiarów zwierzyńca jeszcze kilkakrotnie.

Na przyjęcie rozlicznych zwiedzających, których było w zeszłym roku około 10.000 osób, znajduje się hotel, oberża jako i mieszkania prywatne. Dyrekcja urządziła dla zbiorowych wycieczek pomieszczenie na 300 łóżek. Nakładem Dyrekcji lasów państwowych w Białowieży wyszła obszerna książka inż. I. Karpińskiego p. t. „Puszcza Białowieska i Park Narodowy w Białowieży", zawierająca prócz krótkich danych historycznych i geograficznych, obszerny pogląd na drzewostany, florę i faunę tak puszczy, jak i rezerwatu.

Do zwiedzenia tych wszystkich osobliwości służą urzędowi przewodnicy.

— **Z badań nad słonkami.** — Delegat na powiat jarosławski Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, p. St. Kisielewski w korespondencji z Czerc opisuje między innemi swe obserwacje nad tegorocznym lęgiem słonek. Przytaczamy w strzeszczeniu ciekawe dane:

W roku bieżącym spotykano słonki 20 marca. D. 1 maja odszukano w lasach pod Czercami 3 gniazda po 4 jaja. 20-go maja słonki jeszcze siedziały na jajach. W 2 dni później zaś w gniazdach były już tylko skorupki z jaj, a słonek nie było.

— **O sprawozdania z prób polowych.** — W niemieckiej prasie myśliwskiej zwrócono uwagę na to, że sprawozdania sędziów z prób polowych zjawiają się późno w fachowych pismach. Maruderstwo to ciągnie się nieraz całymi miesiącami. Pozatem narzekają ,że w stosunku do nader szczegółowych opisów poszczególnych psów nagrodzonych, bardzo mało lub nieraz nic zupełnie się nie pisze o właściwościach danych ras. Przy obecnem zaś specjalizowaniu się licznych ras, uwagi takie byłyby nader zajmujące dla hodowców. Zainteresowani domagają się też, aby organizatorzy wystaw, ogłaszając listę nagród, podzielili je na odpowiednie rasy. Podobnież w deklaracjach wystawowych powinno się wyszczególniać, do której rasy dany eksponat należy.

— **Zanik rasy psów.** — Profesor Gruenbauer w czasopiśmie „Der Hund" zwraca uwagę na zanikającą rasę niemieckiego psa myśliwskiego, długowłosego, małego, rasę zwaną „Voigtland". Zanik ten datuje się od roku 1927. W roku 1921 rasa ta na próbach polowych otrzymywała nagrody i bywała często wnoszona do księgi rodowodowej. Psy te były wtenczas bardzo rozpowszechnione nietylko w Niemczech, lecz także na Tyrolu i w Czechosłowacji. Wielkość psa wynosiła 45 do 53 cm. Przy sposobności gazeta ostrzega, żeby nie chować wyżłów, które nie mają przynajmniej 50 cm. wysokości. Psy takie bowiem są bez wartości na polowaniu śród naci kartoflanej, w wysokiej trawie i na bagnisku.

— **Białe nosorożce.** — W obwodzie rezerwatowym w Ugandzie (Afryce północno - wschodniej) przebywa pewna liczba białych nosorożców, które podlegają całkowitej ochronie. Miejscem ich pobytu jest dolina położona na zachód od jeziora Albert-Nianza.

— **Woły piżmowe.** — Rząd Stanów Zjednoczonych sprowadził z Grenlandji 30 wołów piżmowych do Alaski w celach doświadczalnych. Koszty zakupu i sprowadzenia wyniosły 40.000 dolarów.

— **Obniżka tenuty dzierżawnej.** — „D. Jaeger-Zeit." donosi, że na odbytej licytacji gminnej w Rengersdorfie uzyskano za dzierżawę terenów myśliwskich zamiast dawnej tenuty 390 i 200 m. — zaledwie 180 i 80 m. Za 467 pod Muensterem w Westfalji, zamiast 1,800 m., uzyskano 610 m.

— **Walka kłusownika z odyńcem.** — Pod Bratisławą w lesie Ruska Kalna znaleziono bez życia Jana Bereca, strasznie poszarpanego kłami przez odyńca. Śledztwo wykazało, że Berec, który uprawiał kłusownictwo, strzelił do odyńca, nie zabił go jednak na miejscu, a rozjuszone zwierzę rzuciło się na niego, przewróciło i poszarpało kłami. W odległości trzystu metrów od trupa znaleziono bez życia odyńca, który zdołał jeszcze tak daleko odbiedz, zanim padł od otrzymanego postrzału.

— **Polowanie w 91 roku życia.** — Właściciel dóbr Ringweilerhof pod Zweibruecken w Niemczech, liczący 91 lat życia, jak podaje „Wild u. Hund", uprawia dotychczas polowanie. Prawie codziennie bywa w rewirze, polując lub tępiąc drapieżniki, odznaczając się przytem wyjątkową celnością strzałów. W roku zeszłym ubił między innemi 4 kozły, 41 kuropatw, 57 zajęcy i 4 bażanty, co stanowi w tej okolicy górzystej, położonej w pobliżu granicy francuskiej i niezbyt obfitującej w zwierzynę, — rozkład bardzo wydatny nawet dla myśliwego w sile wieku. D. 17 grudnia 1877 roku zabił ostatniego wilka w tej okolicy.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

„Słowo" wileńskie w ostatnich dwóch Dodatkach Łowieckich, (za kwiecień i maj-czerwiec) zamieściło następujące prace: „Nieco o wilkach "Mieczysława Tukałły. — „Piórka z kaczego ogona". — „Pokaz trofeów łowieckich". — „Głuszec, czyli eliksir młodości" Michała K. Pawlikowskiego. — „Chwila obecna a młodsze pokolenie" Mieczysława Mniszek-Tchorznickiego. — „Bulwa" Wacława Kozłowskiego. — „Z T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich". — „O zakazach wywozu psów" R. S. — „List do Redakcji" Olgierda Stetkiewicza. — „Kto ma rację?" Zarządu P. Tow. Łow. w Święcinach. — „Łowiecka skrzynka pocztowa" M. P. — „Od Redakcji" M. P .— „Z ogarami" Romana Radwan-Okuszki. — „Czas ochrony dla niedźwiedzi". — „Sarna, czy panna" Leopolda Pac-Pomarnackiego. — „Prawo i życie łowieckie". — „Wspomnienia z toków" Walerjana Strzemińskiego.— „Do myśliwego". — „Sekcja badania wędrówek ptaków". — „Kto ma rację?" L. M.

Ilustracje: „Gniazdo bobrów na rzece Berezynie" I. Dulewicza. — „Z puszczy Augustowskiej" F. Alaszkiewicza. — „Pani Lula Świętorzecka ze swym 1-ym wilkiem". — „P. Wiktor Święcicki z ubitymi wilkami". — „W czerwcowe deszcze".

Wiadomości handlowe.

— **Skóry futrzane.** — W naszym bilansie handlowym skóry futrzane zajmują bardzo poważną pozycję. W jednym tylko roku 1930 sprowadziliśmy skór futrzanych z zagranicy na sumę około 56.000.000 zł. a trzeba wiedzieć, że rok ten nie był rokiem dobrej konjunktury na futra, wskutek ogólnej stagnacji. Przywóz ten obejmuje zarówno skóry futrzane gotowe, jak i skóry surowe, które w kraju podlegają wyprawie. Niewątpliwie krajowy przemysł futrzany w Polsce jest zależny pod względem surowca od zagranicy i w pewnych wypadkach nie możemy się wyrzec importu, ale jeśli chodzi o wyprawianie tych skór, czyli o ich uszlachetnianie, polska produkcja stoi na wysokości zadania, techniką przygotowania futer w niczem nie różniąc się od techniki zagranicznej. Pod względem przywozu futer luksusowych będziemy prawdopodobnie jeszcze długo zależni od zagranicy. Do tego przyczynia się pewne uprzedzenie odbiorców-klienteli, która chętnie płaci 10—15 proc. za futra z marką zagraniczną, lecz niewątpliwie z czasem uprzedzenie to ustąpi przekonaniu do polskich futer wyprawionych w kraju.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł.
Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

Lew i koza.

W prowincjonalnej menażerji główną atrakcję stanowi klatka, w której siedzą w przykładnej zgodzie lew z kozą.

— To coś niebywałego!—entuzjazmuje się widz.— Panie dyrektorze, czy nie dochodzi między nimi do jakichś nieporozumień?

— Czasami, ale rzadko, i to tylko na kilka minut.

— A potem?

— Potem kupujemy nową kozę.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić..

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

O DOKŁADNY ADRES.

SZ. P. PRENUMERATORÓW PROSIMY O DOKŁADNE PODAWANIE NAM ADRESÓW. ADRES MA ZAWIERAĆ: IMIĘ, NAZWISKO, MIEJSCOWOŚĆ, POCZTĘ I WOJEWÓDZTWO (POWIAT ZBYTECZNY).

PRENUMERATĘ WYSYŁAĆ NAJLEPIEJ NA KONTO CZEKOWE W P. K. O. NR. 80-82.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.